№ 172. Warszawa, Niedziela 22 Czerwca / 4 Lipca Rok 1858.

Opłata prenumeracyjna na Kronikę Wiadomości Krajowych i Zagranicznych, wynosi: a) w Warszawie rocznie: rs. 7. kop. 20 (złp. 48,; b; kwartalnie rs. 1 kopiejek 80 (złp. 12); miesięcznie kop. 60 (złp. 4.)

KRONIKA WIADOMOŚCI KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH.

Na prowincji w Królestwie z pocztą rocznie rs. 12 (złp. 80); kwartalnie rs. 3 (złp. 20). W Cesarstwie taż sama opłata co na prowincji w Królestwie, z dodaniem rs. 4 rocznie lub 1 kwartalnie za koperty.

Jutro ŚŚ. Filomeny P. M. i Cyrylli M.
Wschód słońca o g. 3 m. 46.—Zach. o g. 8 m. 21.

Biuro Redakcji przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu Nro 391. naprzeciw Saskiego placu.

Dziś rano stopni ciepła 12, wczoraj w poł. ciep. 20
Wysokość wody na Wiśle stóp 1 cali 6.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Najjaśniejszy Pan, zgodnie z wnioskiem JO. Xięcia Namiestnika Królestwa, Najmiłościwiej zezwolić raczył na pozostawienie w Królestwie Polskiem, na zasadach Najwyższego Ukazu z d. 15 (27) maja 1856 r. zakonnika ze zgromadzenia Reformatów, xiędza Tyburcjusza *Dybol*, który zbiegłszy w r. 1854 za granicę, obecnie do kraju powrócił.

— Rada administracyjna mianowała: xiędza Antoniego *Maciążkiewicza*, nauczyciela religji przy szkole powiatowéj w Warszawie, proboszczem kościoła parafjalnego we wsi Mazewie w gub. Warszawskiéj,— xiędza Jana *Ussewicza*, kommendarza kościoła parafjalnego we wsi Lubowie w gub. Augustowskiéj, proboszczem tegoż kościoła,—xiędza Stanisława *Kozłowskiego*, kommendarza kościoła parafjalnego we wsi Kleczanowie w gub. Radomskiéj, proboszczem tegoż kościoła.

— Rada administracyjna Królestwa, na przedstawienie Kommissji Rz. P. i S. postanowiła: Wolność trudnienia się starozakonnym zarobkami propinacyjnemi, postanowieniem Rady administracyjnéj z d. 4 (16) czerwca 1857 r. zakreślona do d. 18 (30) czerwca r. b. przedłuża się na rok następny, t. j. od d. 19go czerwca (1 lipca) r. b. do d. 18 (30) czerwca 1859 r. pod warunkami, obowiązkami i przepisami karnemi w postanowieniach z d. 25 maja (6 czerwca) 1848 r. Nr. 22,310, z d. 23 maja (4 czerwca) 1852 r. N. 4,210 i z d. 4 (16) czerwca 1857 r. N. 20,657 wskazanemi.

— W dniu 30 czerwca r. b. pod prezydencją JW. radcy tajnego *Muchanowa*, kuratora okręgu naukowego Warszawskiego, odbyty został Akt uroczysty w zwykłym porządku w instytucie szlacheckim. Akt ten zaszczycił obecnością swoją JW. jenerał-adjutant *Kotzebue*, oraz wysokie duchowieństwo, znakomite osoby wojskowe i cywilne, niemniéj rodzice i opiekuni kształcącéj się młodzieży. Po zagajeniu aktu przemową przez dyrektora instytutu, przystąpiono do odbycia onegoż, a następnie rozdano medale, nagrody i listy pochwalne, oraz patenta, które otrzymali, jak następuje: 1) Nagrody za język Rossyjski w xiążkach: z klassy Iéj: Mieczysław *Niżyński*; z kl. IIéj: Teodor *Cieszyński;* z kl. IIIéj: Teodor *Kaszowski;* z kl. IVéj: Bolesł. *Kołaczkowski;* z kl. Véj: Maxymil. *Greffen;* z kl. VIéj: Alex. *Wilkoński;* z kl. VIIéj: *b)* za napisanie rozprawy na zadany temat, w medalu srebrnym, Miecz. *Dąbski; c)* w listach pochwalnych od JW. Kuratora Okr. N. W. Marjan *Czarnowski*, Felix *Halpert*, Wład. *Turobojski*. 2) Nagrody ogólne: *a)* w xiążkach: z kl. Iéj: Mieczys. *Niżyński*, Konst. *Pawłowski;* z kl. IIéj. Wł. *Kossecki*, Teodor *Cieszyński*, Alex *Muchin*, Adam *Stański*, Wł. *Tryniszewski;* z kl. IIIéj: Alex. *Biesiadowski*, Stan. *Dwernicki*, Teodor *Kaszowski*, Grzegorz *Skabiczewski*, Wład. *Rudzki*, Jan *Karczewski*, Fr. *Przeradzki;* z kl. IVéj: Adolf *Popławski*, Alex. *Trylski*, Bolesł. *Kołaczkowski*, Roman *Bieliński*, Józef *Drozdowicz*, Norbert *Zagrodzki*, Leon *Frankowski;* z kl. Véj: Tadeusz *Cieszyński*, Leon *Lewszyn*, Alex. *Plewe*, Gustaw *Phull*, Alex. *Gudowski*, Bronisł. *Rożyński*, Ernest *Zujączkowski;* z kl. VIéj: Józef *Lubieński*, Wład. *Fabjan*, Alex. *Wilkoński*, Antoni *Tomczycki*, Adam *Frölich*, Bolesław *Pronaszko;* w kl. VIIéj: *b)* medal złoty: Wład. *Trzeszkowski*, z zapisaniem nazwiska jego na tablicy marmurowéj w sali instytutu, jako najlepszego, z kończących całkowity kurs nauk, i za napisanie rozprawy w języku rossyjskim; *c)* medale srebrne: Kon. *Gliszczyński*, nagroda ta ogólna, przyznana została i za napisanie rozprawy w języku rossyjskim; Marjan *Czarnowski* ; *d)* xiążki: Felix *Halpert*, Wład. *Turobojski*, Konst. *Skabiczewski*, Józef *Brandt*, Maxymil. *Moszyński*. 3) Listy pochwalne: z kl. Iéj: Alojzy *Gerhardt*, Sabin *Chrzanowski;* z kl. IIéj: Karol *Beczkowicz*, Felix *Dąbski*. Korneli *Ligowski*, Alex. *Koszelew;* z kl. IIIéj: Konst. *Albertow*, Waldemar *Piwnicki*, Michał *Lewszyn*, Michał *Markow;* z kl. IVéj: Józef *Komecki*, Romuald *Kryński*, Konstanty *Dobrowolski*, Edward *Mordwin;* z kl. Véj: Aug. *Miziewicz*, Stanisł. *Rogowski*, Wład. *Rutkowski*, Stan. *Niedziałkowski*, Antoni *Tabiszewski;* z kl. VIéj: Mikołaj *Tryniszewski*, Adam *Boniecki*, Józef *Misiewicz*, Henryk *Mikułowski*, Stan. *Phull*, Erazm *Łuniewski*, Mikołaj *Biernacki*, Kazim. *Bąkowski*; z kl. VIIéj: Jan *Minasowicz*, Adam *Helbich*. 4) Patenta: *a)* z prawem do rangi kl. XIV: Wład. *Truszkowski*, Konst. *Gliszczyński*, Józef *Brandt*, Konst. *Skabiczewski*, Marjan *Czarnowski*, Felix *Halpert*, Wł. *Turobojski; b)* bez prawa do rangi: Adam *Helbich*, Jan *Minasowicz*, Max. *Moszyński*, Ant. *Zagórowski*, Ant. *Rosset*, Jan *Drabikowski*, Win. *Czosnowski*, Miecz. *Dębski*, Ig. *Łebkowski*, Alfred *Grodzki*, Ryszard *Wyczałkowski*, Stan. *Bieniecki*, Ludwik *Grass*, Jan *Dal-Trozzo*, Jan *Zebrzuski*, Piotr *Zakrzewski*, Ignacy *Krosnowski*, Henryk *Gautier*. Po skończeniu tego, młodzież na galerji odśpiewała hymn *Lwowa*, a po wyjściu z sali posiedzeń, zebrała się wraz z dostojnymi gośćmi w kaplicy rzymsko-katolickiéj, gdzie obecny na akcie, dziekan kapituły Metropolitalnej JW. JX. prałat *Dekert*, odśpiewał Te Deum. Następnie wydaną została uczta, przy któréj JW. kurator okręgu, wzniosł toast za pomyślność NAJJASNIEJSZEGO CESARZA i KROLA ALEXANDRA II jako Najmiłościwszego Opiekuna instytutu, a na który to toast, zebrane osoby odpowiedziały okrzykiem a muzyka hymnem *Lwowa*. (*Kur. Warsz.*)

Korrespondencja z Rzymu.

Rzym dnia 15go czerwca 1858 r.

Rzym zanim wpadnie w długi letarg lata i otwierając swe wypróżnione rynki i portyki bez cienia jedynemu gościowi—słońcu, spocznie pod brzemieniem ołowianéj spiekoty, ocknął się po raz ostatni i ożywił przed kilku dniami processjami Bożego-Ciała, które z nadzwyczajną odbywają się tutaj okazałością i wystawą. Pierwsza mianowicie, w któréj Ojciec święty bierze udział, urocze przedstawia widowisko i ściąga tysiące ludu do św. Piotra. Dnia tego ogromny portyk Berniniego ciągnący się po obu stronach bazyliki, bywa połączony płóciennem nakryciem i ustrojony w najpiękniejsze obicia i w starożytne gobeliny. Drogę zaś którą przechodzi Ojciec święty wysypują piaskiem i mirtowem liściem, a wzdłuż niéj wznoszą rusztowania i galerje dla uprzywilejowanych osób; reszta zaś widzów znajduje dla swojéj wygody tysiące krzeseł, których wynajmowa-

SODALIS MARIANUS.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

ZE STARYCH XIĄG I PAPIERÓW SPISANA,

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

(Patrz Nr. Kroniki 171.)

— Ot, co się stało! — rzecze pan Bobrownicki, — dowiedziawszy się o tém nieszczęściu dopiero wczoraj późnym wieczorem, chciałem biedz tutaj zaraz, ale nie było tego sposobu puszczać się na takie bałwany po nocy. A tu do świta woda jeszcze bardziéj się wzniosła. Zbiegam tedy dziś raniusieńko nad Nidę, daję flisakom dziesięć dukatów za przewóz, ale ani sta żaden nie chce. Wsiadłem tedy na łódkę sam, ale woda mnie przewróciła. Na szczęście przecież jakoś się wyratowałem pływaniem...

Jużby był Jurcio do nóg mu upadł za tę przyjaźń dla ojca, ale on zaraz się zaczął wypytywać o pogrzeb. Znów tedy w płacz biedny młodzieniec, — ale go prędko utulił miecznik, mówiąc serdecznie:

— Proszęż cię, dziecko kochane, już się choć o to nie frasuj. Mam ja tu z sobą parę groszy w kieszeni i wszystko to się zrobi jak trzeba.

Zaraz też jakby inny duch wstąpił w dom cały. Miecznik sam się wszystkiem zatrudnił, bo był człek rządny jak mało. Porozsyłano więc fornalki i konnych na wszystkie strony, tu po kiry żałobne, światło i rzemieślników, tam znów po xięży; po sąsiadów i co było potrzeba. Cały dzień na tem zeszedł, ba i noc cała, — ale nazajutrz koło południa odbył się pogrzeb z taką zacnością, że i trudno było wymagać co więcéj w tym razie. Duchowieństwa była liczba dostatnia, nabożeństwo solenne, nie brakło téż i oracji, i sąsiadów, i ludu. Nieszczęśliwy młodzieniec poniósł stratę niepłaconą, — żalu jego i łez niewstrzymanych nic ukoić nie mogło, — ale przecież w tym żalu było to choć niejaką dla niego pociechą, że ostatnia ziemska posługa dla jego ojca, odbyła się tak, jak przykazuje kościół, jak narodowy niesie obyczaj i jak jego synowskie pragnęło serce. A za wszystko to winien był wdzięczność panu Bobrownickiemu. Patrzał téż on na niego jak na swego wybawcę, a jak to młode serca dziwnie są chwytliwe w affektach, tak i on przysiągł sobie wdzięczność tę dla tego zacnego człeka już zachować na zawsze. Ba nawet nie mógł się wstrzymać, aby mu tego nie wypowiedział. Kiedy więc było już po pogrzebie, jeno stypa jeszcze się przeciągała, przy któréj rotmistrz gospodarował, wziął on prędko miecznika na stronę i objąwszy go w swoje ramiona:

— Dobrodzieju mój! — rzecze, — już ci téż tego nie zapomnę do śmierci!

A miecznik na to:

— Dziecko moje kochane, nie miéjże mi téż za to żadnéj wielkiéj wdzięczności! Wżdym ja to tylko zrobił, com był winien przyjacielowi, któregom kochał jak brata. A kiedy tak się zdarzyło, żem tém i twoje serce pocieszył, to już tylko łaska jest Boża. Za co niech będzie chwała Panu Bogu tém bardziéj, ile że jak się dowiaduję, jużeś sobie na to i sam zasłużył. Powiedzże, jak to tam było z Flemingiem?

Skromny młodzieniec spuścił oczy ku ziemi, nie wiedział sam co ma powiedzieć, — a tu tymczasem szlachta, dowiedziawszy się o téj bitwie w Krakowie, a podochociwszy so-

nie jest źródłem znacznych dochodów dla przedsiębiorców. Ale tym razem trzeba było przyjść zawczasu, aby znaleźć miejsce, bo prześliczna pogoda ściągnęła była na plac św. Piotra niezliczone tłumy, chciwe przypatrzenia się sławnemu obchodowi, zwłaszcza, iż niebytność Ojca świętego w przeszłym roku o téj porze pozbawiła była Rzymian ulubionéj ich uroczystości, jedynéj niemal, na którą się gromadno zbierają, bowiem na innych, liczba cudzoziemców bywa prawie zawsze przewyższającą. W bogato ozdobionéj trybunie widzieć można było Królowę Hiszpańską Krystynę, z mężem, z córką i z dworem, daléj ciało dyplomatyczne, mnóstwo dam najświetniéj ustrojonych, gdyż płeć piękna, jak wiadomo, bierze ze wszystkich wypadków powód do strojenia się i t. d..... słowem te tysiące widzów i ta różna ilość strojów śliczny sprawiały widok, chociaż nie było bynajmniéj budującą stroną ceremonji. O ósméj rano processja wyszła przez królewskie schody prowadzące do Syxtyńskiéj kaplicy. Bywa ona tak długą, iż jeden jéj koniec obszedłszy w koło ogromny plac św. Piotra wchodzi do bazyliki, gdy drugi koniec wychodzi dopiero z Syxtyńskiéj kaplicy. Nabożeństwo zaczyna się z wyjściem processji, a Ojciec święty ma czas skończyć je zanim koléj na niego przyjdzie. Najsamprzód szły seminarja, szkoły duchowne, dom sierot, *gli Orfanelli* w białych zakonnych sukienkach, potem zaczynały się zakony, każdy niosący krzyż i chorągwie z obrazem swego założyciela lub patrona. Reformaci byli najpierwsi, daléj szli bernardyni, franciszkanie, kapucyni, a za nimi augustjanie, dominikanie, kameduli, karmelici, trynitarze i t. d. Po zakonach ciągnęły bazyliki rzymskie, to jest kapituły wszystkich bazylik, każda poprzedzona kapelą śpiewającą hymn *Pange lingua*, oraz krzyżem mniéj lub więcéj ozdobnym, a będącym niekiedy arcydziełem złotnickiéj sztuki, jak bizantyjski krzyż kapituły św. Jana Lateraneńskiego, toż dzwonem zawieszonym w pozłocistych ramach i ogromnym parasolem z axamitu i złotogłowiu, który jest godłem bazyliki. I tak widać było bazylikę N. P. Zatybrzańskiéj, *Santa Marja in Transtevere*, bazylikę *Santae Mariae in Cosmedin* i t. d., następnie siedm bazylik wielkich między któremi trzy patryarchalne św. Piotra, św. Krzyża i N. P. śnieżnéj (*Santae Mariae majoris*), a jedna papiezka św. Jana Lateraneńskiego, Matka i Głowa wszystkich kościołów miasta i świata, *omnium urbis et orbis ecclesiarum mater et caput*. Za bazylikami postępowali wszyscy proboszcze rzymscy, prałaci, jenerałowie zakonów rezydujący w Rzymie, między któremi jednak nie występuje nigdy jenerał Jezuitów uwolniony raz na zawsze z całym zakonem swoim od wszelkich processji. Za tymi nadchodziły rozmaite trybunały i urzęda duchowne i świeckie; nareszcie biskupi i arcybiskupi w białych infułach, potem kardynałowie w białych także acz nieco odmiennych infułach, każdy otoczony dworem swoim; po ś. kollegjum szedł senat rzymski w złotogłowych sukniach z ogonami niesionemi przez paziów; dwór papiezki w średniowiecznych strojach, szambelanowie świeccy odziani po hiszpańsku ze złotym na szyi łańcuchem, oficerowie od szwajcarskiéj gwardji w stalowych złotem wysadzanych zbrojach, xiążę assystent tronu i t. d..... Potem niesiono trzy tiary czyli potrójne korony okryte klejnotami i promieniące się od brylantów, jako też srebrny krzyż który poprzedza zawsze Papieża, a nakoniec ukazał się sam Papież z Przenajświętszym Sakramentem, niesiony pod złotogłowym baldachimem, między wachlarzami z piór białych pawiów, i otoczony gwardją szlachecką w ponsowych mundurach i gwardją szwajcarską w malowniczym różnokolorowym stroju wymyślonym przez Michała - Anioła. Ojciec święty siedzi rzeczywiście, ale zdaje się klęczyć przed Przenajświętszym Sakramentem. Ogromna złotolita kapa okrywała całkiem jego osobę, siedzenie i postument na którym oparta była monstrancja, spływając szerokiemi fałdy w koło niego. Najwyższy Pasterz z pochylonem czolem i zamkniętemi powieki był pogrążony w głębokiem rozmyślaniu i modlitwie przed Zbawicielem utajonym w Najświętszéj tajemnicy ołtarza. Kłęby kadzidła otaczały go przezroczystym obłokiem, za którym ta nieruchoma postać modląca się przed złotem słońcem monstrancji przesuwała się zwolna gdyby rajskie widzenie. Lud się korzył wszędzie i padał na oblicze, a najtwardsze serce widząc ten łagodny, cichy chociaż tak wielki majestat wcielonego Boga i Jego Namiestnika na ziemi, nie mogło się wstrzymać od uronienia drobnéj przynajmniéj łezki.

Uwaga publiczna w Rzymie mocno zajętą została projektem podanym przez p. Wincentego Manzini dla oczyszczenia i zaludnienia rzymskiéj okolicy, który Ojciec święty ze szczególną przyjąwszy przychylnością oddał pod sąd uczonych. Wyłożony on jest jasno i zwięźle w pisemku obejmującem do stu stronnic, ozdobionem mappą i noszącem następny tytuł: *Del modo di restituire a Roma l'antico suo porto, liberarla dalle inondazioni e dai centri d'infezione della sua aria, e delle consequenti bonificazioni, navigazione ed irrigazione generale degli agri pontino e romano, risguardate quali basi di pronta e sicura colonisazione delle provincie mediterranee pontificie. Progetto dell'ingegnere Vincenzo Manzini, Roma 1858*. Pomijając stronę czysto techniczną rzeczonéj pracy jako mniéj zajmującą dla naszych czytelników, wypiszemy po krótce myśl jéj zasadniczą i główne wywody wyprowadzone przez autora.

Projekt ten opiera się całkiem na dwóch zaleconych przez niego środkach, chcę mówić na przywróceniu przy ujściu Tybru starożytnego portu rzymskiego, i na osuszeniu Pontyńskich bagien. Obadwa podług niego są ściśle ze sobą połączone i niezbędne do osiągnienia jedynego założonego celu, to jest zaludnienia Kampanji rzymskiéj i uczynienia jéj zdrowszą. Co do pierwszego środka uważać należy iż Rzym starożytny za Cezarów posiadał trzy porty, jeden na wschodzie w *Antium*, drugi na zachodzie w *Centumcellae* czyli teraźniejszéj Civita-Vecchia, trzeci zaś środkujący między dwoma wspomnionemi przy ujściu Tybru w Ostji. Otóż autorowi się zdaje iż ten ostatni był i jest godnym stanowić prawdziwą morską bramę stolicy świata. Dla przywrócenia zaś temuż dawnéj jego świetności dość go odbudować takim prawie, jakim był za Cezarów. Klaudjusz uchwaliwszy jego budowę w 43 roku ery chrześcjańskiéj otworzył go wykopując obok ujścia Tybru szeroką kotlinę i wpuszczając do niéj morze. Potem w same morskie głębiny rzucił podwójny wał dla zamknięcia zatoki, a w miejscu gdzie się zbliżały jego ramiona zatopił wielki okręt którego użyto do przewiezienia watykańskiego obelisku, i na takowéj podwalinie usypał sztuczną wyspę na któréj postawił olbrzymią morską latarnię na wzór Alexandryjskiéj. Trzydzieści tysięcy robotników pracujących bez przerwy przez jedenaście lat jego panowania, nie wystarczyły Klaudjuszowi aby ujrzyć koniec przedsięwziętego przez siebie dzieła. Zostało ono dokonaném przez Nerona, który nie poprzestając na niém, chciał jeszcze obdarzyć rodzinne swoje miasto Antium portem noszącym swe imie. Trajan powiększył późniéj port Ostyjski czyli Rzymski dodatkami, które go postawiły na najwyższym szczeblu pomyślności i chwały. Wykopał bowiem w lądzie przystań Trajańską, równającą się ogromem drugiemu portowi połączonemu z pierwszym za pomocą szerokiego kanału; obok portu poprowadził rów Trajański, teraz kanał Fiumicino, a związawszy go innym ukośnym kanałem ze swoją przystanią, połączył wody Tyberyjskie z wodami wewnętrznego portu, tak iżby okręta mogły ztamtąd podchodzić po rzece aż ku samemu Rzymowi. U wnijścia zaś rzeczonego kanału wbił potężne wrota przeciw odsepiskom, i tym to wrotom zawdzięczano przez ciąg 15 wieków zachowanie portu w całkowitości, równie jak obecnie ich zniszczeniu należy przypisywać utratę tegoż portu i tak szybkie a coraz wzrastające rozszerzenie się wybrzeża morskiego we Fiumicino.

Owoż p. Manzini zapobiegając tym niedogodnościom podaje myśl wykopania kotliny nazwanéj przez siebie *Piusową, Bacino Pio*, w ten sam sposób, w jaki Klaudjusz wykopał swój port; następnie zaleca on otwarcie na nowo i oczyszczenie portu Klaudjuszowego i Trajańskiéj przystani zwanéj teraz *Lago di Porto*, wolnemi je czyniąc od mułu i gruzów co je napełniły; tudzież zrobienie ujścia w Trajańskiéj przystani dla kanału słonéj wody, któryby przeciwnym końcem swoim sięgał Tybru odwróconego w *Ponte-Gallera*, gdzie umieszczonoby sławne Trajańskie wrota dając im rozmiary wielkiego nowożytnego podmurowania. Taką miarą port Piusowy, nazwa dana przez autora nowemu portowi—powiększając dawny o tyle, o ile brzeg się morski naprzód wysunął, będzie panował nad dawnym portem Rzymskim, którego podwoi objętość i stanie się tym sposobem największym Włoch i Śródziem

---

bie cokolwiek na stypie z téj tam zakrytéj piwnicy, do któréj rotmistrz miał sekret, wpada z wielkim hałasem, biorą Jurcia na ręce, noszą po izbach, ledwie go nie rozerwą. Rozżalony chłopczyna aż się przestraszył. Wyrwał im się przecież nakoniec, uciekł ze łzami w oczach i schował się do sypialni matczynéj. Ale go znalazł niebawem miecznik.

— Jurciu! — rzecze do niego, — nie masz ty tu na teraz co robić w tym domu. Dziś tu za wielkie na ciebie hałasy, a jutro będzie za wielka cisza. Nieprzystojna jest głuszyć żałobę rozgwarem, ale także nic dobra truć się nią w samotności. Nie widzę też, żeby ten rotmistrz był dosyć dobrą dla ciebie kompanją, zwłaszcza gdy się już dobrał do piwnicy sekretnéj. Dla tego proszę cię bardzo, przyjmij u mnie gościnę choćby na czas: nie masz tam świętych pocieszycieli dla ciebie, ale są ludzie po Bogu, którzy radzi się dzielą braterskim smutkiem i przy pomocy Boskiéj nie jednę ukoili już boleść. Chodź tedy ze mną, a za dni parę znowu tutaj wrócimy, ażeby jakiś ład zaprowadzić w tym domu.

Bardzo to tedy było utrapionemu chłopięciu na rękę, zwłaszcza gdy widział, że z jego rodzicielskiego domu, który powinien był być cichym przybytkiem żałoby, uczynioną gwarliwą dla Bachusa świątynię. Jakoż szli zaraz za Nidę. A był już dzisiaj dzień piękny i wody znacznie opadły na Nidzie. Przewieźli się więc spokojnie, a jak tylko do przeciwnego dobili brzegu, wstąpili zaraz na terytorjum miecznika. Czy się to tylko Jurciowi tak wydawało, czy też tak było w rzeczy, aleć tu jakby świat był zupełnie inny! Zaraz z wody wstąpili na małą łączkę, któraby i za najpiękniejszy ogród stanęła. Boć tu po świeżéj zieleni porozsiewane wiosenne kwiatki, jasne i barwne, a niby tak migocące, jako gwiazdki na niebie, a już tak piękne, jak tylko być mogą nad Nidą. Toż po téj łączce porozrzucane drzewa, niektóre stare i wielkie, drugie wysmukłe i cienkie, to znowu chaszcze gęste jak matnie; tutaj brzózka płacząca, a tam znów dąb starzec zgrzybiały z uciętą głową, na któréj miejscu plecione koło z uwitem gniazdem bocianiem na wierzchu. Tu więc pod dębem darniowa ławka z kamiennym stołem, a pod kosmykiem chaszczów kanapka z brzozowych ramion, a od stromego brzegu płotek z białego głogu. Już prędkie słońce dawno uciekło z jasnego nieba, już się i zmrok błękitnawy rozścielił, ale wszystko to widział dobrze osmucony młodzieniec i widział jeszcze lepiéj dla tego, że mu się zdało, jakby tu samą wonią odetchnął! A potem zaraz wstąpili na drogę, którą przeszedłszy na poprzek weszli przez bramę w wielki dziedziniec zameczku. Tu jakoś chmurno było cokolwiek. Od wielkich świerków, stojących po jednéj, i gęstych sadów stojących po drugiéj stronie zameczku, padał cień pochmurny w dziedziniec, roznosiła się woń od drzew smolnych i była tu jakaś wielka powaga. A zameczek sam była to sobie wcale staropolska budowa. Może to niegdyś było inaczéj, ale dziś rozmaicie. Jedna baszta okrągła, druga czworograniasta, a trzecia znowu okrągła; tu kilka okien wązkich i długich, tam znów parę szerokich, jedna baszta o dachu krągłym, druga wcale bez dachu, tu kilka kolumn, tam kawałek krużganku u piętra, a tam znów coś jakby ambona z szybami. Aleć to tak bywało dawnego czasu: stawiano piękne Panu Bogu kościoły, sztyftowano okryte ku obronie ojczyzny chorągwie, a siebie samego mieszczono w tém co zostało po ojcach, wiedząc o tém dobrze, że stara cnota najbezpieczniéj się chowa pod starym dachem...

Więc w progu domu stary sługa ich przy-

nego morza portem (1). Rów Trajański nie będzie już odtąd służył za ujście Tybrowi, lecz opatrzony wrotami zostanie wodnym gościńcem, łączącym port z rzeką a przez nię z Rzymem. Nadto z jednéj strony rzuci się most, przez który będzie przechodzić pocztowa droga, a w którego arkadach porobią się upusty dozwalające w razie potrzeby wpuścić całą rzekę słonym kanałem do portu aby go oczyścić; z drugiéj zaś strony inna śluza wprowadzi wszystkie męty Tybru do bagien Ostyjskich aby je zasypać i zniszczyć raz na zawsze pierwiastek zabójczych wyziewów.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

Telegramy.

Londyn 29 Czerwca. Na wczorajszem posiedzeniu Izby niższéj, p. Duff wystąpił z interpellacją, czy rząd wié albo sądzi, że Austrja ustnie albo piśmiennie zobowiązała się pomagać Porcie przeciw przypuszczalnym powstaniom w jéj europejskich prowincjach. Podsekretarz stanu w wydziale spraw zagranicznych Fitzgerald, protestował przeciw podobnym czczym interpellacjom, i odpowiedział, że nie ma żadnych wiadomości urzędowych w tym przedmiocie, ani ochoty wystąpienia ze swemi własnemi opinjami w tym razie.

Marsylja 28 Czerwca. Nadeszły tu wiadomości z Kalkuty 17 Maja. Listy handlowe mówią, że wiadomości z teatru wojny są niepomyślne a przynajmniéj cząstkowe korzyści kompensują się cząstkowemi klęskami. Garnizon m. Sahzampore został niespodzianie napadnięty przez powstańców z Oude i to miasto zostało oddane na mord i rabunek. Anglicy cofnęli się do warowni i wkrótce otrzymali odsiecz.

Xiężna z Ihansi nie przestaje wojny. Stoczyła ona bitwę w Belapor niedaleko Lucknow, w któréj jenerał Walpole i dziewiąty pułk ułanów szarżowali trzy razy ale napróżno.

Okólnik handlowy drukowany w Kalkucie mówi, że jenerał Walpole został zabity i że siedmiu officerów i mnóstwo żołnierzy zginęło z nim razem.

Kolonja europejska dowiedziała się z radością o zapowiedzianem nadejściu posiłków w liczbie 9000 ludzi.

Jednakże ponieważ jeden tylko list wspomina o śmierci jenerała Walpole, pozwolimy sobie wątpić o prawdziwości téj wieści.

Sir Colin Campbell koncentruje swoje siły i chce korzystać z niezgód jakie powstały między muzułmanami i bałwochwalcami.

Wiadomości z Chin donoszą, że kommissarz chiński w Kantonie, unika wszelkiego rodzaju spotkania z reprezentantami władz europejskich. Stronnictwo wojownicze ma przewagę, mieszkańcy Kantonu rzucają kamieniami na sprzymierzonych gdzie tylko mogą. Zdaje się, że przygotowuje się powstanie.

Paryż 29 Czerwca. Cesarz wyjechał do Plombières.

Turyn 28 Czerwca. Na wczorajszem, jak się zdaje przedostatniem posiedzeniu Izby reprezentantów, przedstawiony został budżet wydatków na rok 1859.

Według tutejszych dzienników, konsul angielski p. Barbas, który statek *Cagliari* zaprowadził do Genui, przybył dziś z rana do Turynu.

(Neue Preussische Zeitung.)

CHINY.

Względem wspomnianych już poprzednio niebezpieczeństw jakie się przedstawiają w Kantonie dowiadujemy się, że reprezentanci Anglji i Francji postawili w pałacu gubernatora Pehkwe straż 50 żołnierzy, podobno dla tego, że on chciał udać się do Futszan, gdzie poprzednio już wysłał swoje pieczęcie i służących. Wielu innych wysokich mandarynów z tych samych powodów poddano jeszcze surowszéj kontrolli. Nowo-mianowany przez cesarza gubernator Kwangtsenhan, ma znajdować się o jakie 20 mil od Kantonu, i zdaje się czekać jak się rzeczy pokierują. Wielkie gromady żołnierzy tatarskich koncentrują się w sąsiedztwie Kantonu, mówią o 20,000 ludzi, a między niemi o korpusie Kiha, sławnym u chińczyków ze swego wzrostu i siły; jest to pokolenie tatarskie które od połowy 17 wieku osiedlone jest w prowincji Kwang Tung. Jenerał Straubensee naczelnie dowodzący w Kantonie, rozkazał, aby wszystkie puste domy stały otworem. Wszystkie osoby które z bronią w ręku lub z prochem, przez bramy miasta chciałyby przechodzić, mają być aresztowane, wszystkie domy w bliskości wałów są rozbierane. Prócz tego zabroniono chińczykom po godzinie 8éj wieczorem chodzić po ulicach. A jednak zdarzyło się niejedne przekroczenie praw. Jeden officer odbywając patrol nocny znalazł jedną z bram miasta zabarykadowaną, kiedy chciał przejść wierzchem strzelono do niego, na szczęście strzał ten chybił. Jeden urzędnik angielskiego konsulatu niesiony w lektyce na jednem przedmieściu został przez gromadę chińczyków napadnięty, a le nadejście oddziału żołnierzy francuzkich zmusiło ich do ucieczki.

Według późniejszéj jak się zdaje wiadomości podanéj przez *North China Herald* pełnomocnicy mocarstw europejskich będąc w Szangai, otrzymali od ministra stanu dworu cesarskiego Yu, odpowiedź żądającą aby powrócili do Kantonu, dla wejścia tam w układy z kommissarzem cesarskim Kwangtsenhan. Pełnomocnikowi Stanów Zjednoczonych oświadczono wysokie zadowolenie Cesarza, z powodu że on nie miał udziału w attaku na Kanton, ale i jemu oświadczono, aby się udał do kommissarza cesarskiego Kwangtsenhan do Kantonu, dla porozumienia się z nim względem wątpliwego wykładu traktatów. W skutku powyższych depeszy, które każdemu z pełnomocników z osobna doręczone zostały, udali się oni ze swemi eskadrami na rzekę Peiho, która jest drogą do Pekinu. *(Neue Preus. Ztg.)*

FRANCJA.

Paryż 28 Czerwca. Spodziewano się, że stan Fuad paszy pozwoli konferencji zgromadzić się we środę, w mieszkaniu reprezentanta Porty, który jeszcze wychodzić nie może, ale musiano zrzec się tego zamiaru, bo Fuad pasza wczoraj jeszcze był bardzo słaby. Tak więc chyba w przypuszczeniu można naznaczać termin przyszłego posiedzenia konferencji, którą jakiś dowcipniś nazwał konferencją Penelopy, z powodu powolności postępu i bezowocności wszelkich jéj dotychczasowych usiłowań.

Cesarzowa mieszkać będzie ciągle w St. Cloud, przez czas pobytu Cesarza w Plombières.

Przed udaniem się do Cherbourga, Cesarz przybędzie na parę dni do St. Cloud. Po uroczystościach w tym porcie i objechaniu kilku miast Bretanji, Cesarzowa uda się do Biarritz, a Cesarz na manewry do Chalons.

Dowiedzieliśmy się dziś o przybyciu marszałka Randon do Marsylji. Zapewniają dziś stanowczo, że tytuł xięcia Kabylji zostanie nadany marszałkowi w nagrodę jego usług, jako gubernatora jeneralnego Algierji.

Organizacja nowego ministerstwa Algierji i osad ogłoszoną zostanie w *Monitorze* dopiero 2 lipca, ponieważ ministerstwo to dopiero w d. 1 lipca będzie inaugurowane, wtedy zatem dopiero wszystkie nominacje zostaną kontrasygnowane przez xięcia i zatwierdzone przez Cesarza. Pozostanie w miejscu dwóch naczelników dyrekcji Algierji i osad, ogłoszone jest przez dzisiejsze dzienniki wieczorne. Mówią dziś, że biura nowego ministerstwa nie będą urządzone w Palais Royal, ale to dotąd nie jest pewnem.

P. Pelletier zastąpi w ministerstwie stanu pana Blanche, który jako sekretarz jeneralny przechodzi do nowego ministerstwa.

Minister marynarki mianował kommissję mającą zająć się rozwiązaniem kwestji politycznych, tyczących się rozdzielenia ministerstw marynarki i osad.

Zapewniają, że xiążę Cambridge i kilku jenerałów angielskich otrzymali zaproszenie na uroczystości w Cherbourg.

— Opinja publiczna najsympatyczniéj przyjęła środki przychylne przedsięwzięte względem prassy. *Siècle* odzywa się jednozgodnie z pochwałami tych środków, ale dodaje, że jemu jeszcze nie przywrócono prawa sprzedaży na ulicach; niewątpimy jednak, że to pozwolenie zostanie mu udzielone, jako uzupełnienie rozporządzeń nowego ministra spraw wewnętrznych.

Wczoraj odbyło się w sali Saint Jean posiedzenie Towarzystwa opiekującego się zwierzętami. Dwadzieścia medali rozdano. Deputacja podobnegoż towarzystwa istniejącego w Londynie, znajdowała się na tem posiedzeniu, pod przywództwem jenerała sir John Lille, który przedstawił

(1) Nowy port obejmowałby żeglowną powierzchnią mającą metrów kwadratów. 2,632,600, z których 474,300 wziętych na morzu, 837,500 zaś odrachowanych na nowy port Piusowy, 1,043,850 na port Klaudjusza, a 256,850 na przystań Trajana. Ten port mógłby sam jeden pomieścić więcéj statków niż porty włoskie razem wzięte, wyjąwszy jednak Wenecki.

---

jął, a miecznik go zaraz zapytał: czy wszystko dobrze jest w domu?

— Dobrze, Wielmożny Panie, — odpowie sługa, — Panu Bogu niech będzie chwała!

A tak już szli do miecznika komnaty, która była na dole, aby cokolwiek wypocząć.— Miecznik przystąpił do swego bióra, aby obaczyć czy nie ma listów jakich, lub innych nowin ze świata, — a osmucony sierota, siadłszy na zydlu i odetchnąwszy z głębokiéj piersi, rzecze do niego:

— Ej! toż to tu pięknie, toż to tu cicho u jegomości! Dobra to rzecz i taki opatrzony zameczek! Gdyby mój ojciec był miał taki, byłby żył sobie Bóg wie jak długo!

— A cóż to? — odpowie miecznik, aby myśl jego od téj żałoby odwrócić, — czyż to tu nigdy jeszcze nie byłeś, że tak admirujesz tę chatę?

— O! jużci byłem, aleć to dawno już temu! Jeszczem był małem chłopięciem. Jeszcze mój ojciec zdrów bywał wtedy i przychodziliśmy tu obadwa piechotą. Dawnoż to temu, och! dawno. Jeszczem nie znał wtedy, kromia saméj uciechy. Czy widok ojca, czy widok matki, czy nowa xiążka, a gdyby tylko nowa sukienka, już był raj dla mnie i uciecha bez końca. I tak już do tego nawykłem, że mi się zdało, jakoby tak miało być zawsze. Aleć przyszły i na mnie utrapione terminy. Ojciec już w grobie, wioski pozadłużane, dobytek rozdrapany, — a biedna matka moja nawet nie wie nic o tém! Tu dom osierociał, tu pustka w domu; z téj tam fortuny naszéj może nie będzie kawałka chleba-- a ona biedna nie może się tém nawet zasmucić! Ej! panie miecznik! nie czas mi tu pono bawić u was w gościnie, trza się zrywać co prędzéj i biegnąć do matki.

Jakoż się zerwał zaraz ze zydla, jakby już koń stał dla niego przed gankiem. Więc tedy miecznik z całego serca w perswazje:

— Dla Pana Boga żywego, co robisz! Nie tak to rzeczy te są, jako ci się wydają. Młodyś jest, więc żywo to czujesz, aleć się trzeba i starszych poradzić, a wytrawniejszych. Źle się to stało, że pani stolnikowa tu nie przybyła zawczasu, to prawda: ale kiedy się już tak stało, to z złą nowiną niema czego pośpieszać. Zmiłuj się, każdy dzień, każda godzina, o którą późniéj ją ta wieść dojdzie, to jest zysk dla téj zacnéj matrony nie mały. Jeśli masz serce, nie spiesz-że się ze zgryzotami dla matki. Chowaj ten cios fatalny przed nią choćby najdłużéj. Dowiedziała się przez pachołka, którego do niéj wysłano, to już przepadło; ale jeżeli pachołek z niczem powróci, to dajmy pokój temu do czasu. A już przynajmniéj sam choć ochłodnij, sam się oswój z tą dolą, ażeby też matka miała, ktoby ją w tym frasunku pocieszył. Tak trza i tak to będzie zacnie od ciebie. A o fortunę także sobie głowy nie turbuj przed czasem. Źle to tam jest, jako mi sam powiadał nieboszczyk, aleć niemasz tu jeszcze noża na gardle. A potem; co to tu w naszéj Polsce fortuna! Kiedy na starość nie ma własnego kąta, to i to jeszcze nie bieda, boć wkoło braci bez liczby, a u każdego kącik gotowy: a cóż dopiero młodemu, który ma świat cały przed sobą? Jeszczeż do tego takiemu, który jak ty ma głowę na karku, serce na swojem miejscu i już tak pięknie w świat się zaprowadził. Toż to gdzie się obrócisz, chleb dla ciebie gotowy i chléb pszeniczny: a posłużysz czas jaki, pospyią się i nagrody, czy to w stopniach wojskowych, czy w urzędach publicznych, czy też w starostwach, czy w jakichbądź beneficjach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

zgromadzenia sławnego p. Rarey. Niewiemy, czy jenerał Grammont, znany ze swojego rozsądnego zamiłowania zwierząt i z prawa, które na jego wniosek zostało ogłoszone w tym przedmiocie, znajdował się na tem posiedzeniu.

— P. Edmund Texier pisze w *Siècle*:

Paryż w téj chwili zalany jest kandydatami do hospodarostwa w Xięztwach Naddunajskich. W *Hotel de Louvre* mieszka ich trzech, w *Hotel du Prince* dwóch, czterech zaś albo pięciu innych, mieszkania swoje mają na bulwarach.

— W Caen rozpoczął się interessujący process bandy złoczyńców, z których 21 znajduje się pod oskarżeniem licznych kradzieży, rabunków, zamordowania jubilera Prechard i innych przestępstw.

— Pan Cunin Gridaine, niegdyś minister handlu i przez długi czas reprezentant departamentu Ardenne w drugiéj Izbie, a obecnie bogaty fabrykant sukna w Sedan, jest niebezpiecznie chory.

(Indépendance Belge.)

T U R C J A.

Konstantynopol 18 Czerwca. Depesze telegraficzne z Paryża i Wiednia, przybywają nieprzerwanie prawie do wysokiéj Porty.

Druga depesza donosi, że projekt hrabiego Walewskiego w przedmiocie reorganizacji Multan i Wołoszczyzny, został przedstawiony konferencji, która usunęła z niego dziedziczność hospodarów i utworzenie senatu wspólnego dla obu państw. Nazwa: *Xięztwo naddunajskich połączonych*, została przyjętą i Fuad pasza żąda co do tego punktu zatwierdzenia od wysokiéj Porty.

Niepotrzebujemy mówić, że to wszystko niepokoi w najwyższym stopniu wysoką Portę i daje powód do żywych rozpraw w radzie ministrów.

W tych dniach pięć exemplarzy hatyhumajun z dnia 18 lutego, w przekładzie francuzkim, zostały wysłane do Fuad paszy do Paryża, po poświadczeniu ich za zgodność przez wielkiego wezyra.

Internuncjusz austrjacki i sprawujący interessa Anglji, bardzo często udają się do wysokiéj Porty i nieraz po kilka godziu pracują z wielkim wezyrem. Co do wyjazdu p. v. Prokesch, jest on na nieograniczony czas odłożony.

W admiralicji przygotowują statki parowe do podróży, którą Sułtan zamierza przedsięwziąć tego lata, ale niewiemy jeszcze w którą stronę Jego Wysokość zechce się udać. Zresztą, największa tajemnica panuje jeszcze względem tych przygotowań.

Nowy minister szwedzki pan Sibbern, przybył do naszego miasta w tych dniach, a ambassador angielski sir H. Bulwer, wkrótce jest oczekiwany.

— Czytamy w *Presse d'Orient*:

Wczoraj było wielkie posiedzenie rady ministrów. Ostatnie wiadomości z Krety spowodowały nowe wysłanie siły zbrojnéj.

Fregata parowa *Feizi Bahri* odpływa za dwa dni do Canei z wojskiem.

Położenie zdaje się być ciągle wyprężonem. Umiarkowanie kommissarzy Porty nie sprawiło na powstańcach takiego wrażenia, jakiego się spodziewano.

— Czytamy w *Constitutionnellu*:

Otrzymaliśmy z Tryestu korrespondencję, przedstawiającą dużo interessu w obecnych okolicznościach. Znaczne nagromadzenie wojska tureckiego w stronie Hercegowiny, zdaje się wzbudzać żywe obawy w mieszkańcach Czarnogóry. Chcemy przypuszczać, że te obawy są przesadzone, bo nie możemy zapomnieć, że Turcja przyjęła względem Europy stanowcze zobowiązania. Francja i Rossja szczególnie oświadczyły się tak energicznie w przypuszczeniu nowego ataku przeciw xięciu Danielowi, że Porta nieodważyłaby się zapewne ponowić kroki nieprzyjacielskie.

Jednakże podzielamy podziwienie naszego korrespondenta, widząc, że Turcja ciągle wysyła w stronę Hercegowiny więcéj sił, niż ich potrzeba do zupełnego uspokojenia téj prowincji. Nie zaprzeczamy, że obecność tego wojska może spowodować bardzo niekorzystne i niebezpieczne nawet skutki, pomimo oświadczonych przez Portę spokojnych zamiarów. Dość jest naprzykład jakiego rozkazu źle danego, lub źle zrozumianego, aby jaki nieroztropny jenerał wywołał starcie między turkami i czarnogórcami, a naturalnie odpowiedzialność takiego starcia spadłaby koniecznie na rząd turecki.

Sprawa Czarnogóry jest dziś w rękach Europy. Xiąże Daniel nie ma żadnego interessu w ponowieniu nieprzyjacielskich kroków przeciw Turcji, a sam fakt skoncentrowania licznego wojska na jednym punkcie, postawiłby Portę w obowiązku dania Czarnogórze zupełnego zadość uczynienia.

Ale nie możemy przypuszczać dłużéj, żeby Porta po formalnych zobowiązaniach jakie przyjęła, i w chwili, kiedy się negocjuje ostateczna ugoda, myślała o atakowaniu Czarnogóry. Przedewszystkiem chcemy wierzyć w jéj prawość, nie zatrzymując się na téj zasadzie, że w takim razie Sułtan atakowałby nietylko samą Czarnogórę, ale w pewnym względzie i mocarstwa, które zajęły się sprawą tego drobnego państwa. (*In. B.*)

W Ł O C H Y.

Turyn 24 Czerwca. Wczoraj Turyn w niemałem był wzburzeniu, bo z ust do ust przechodziła wieść, że Mazzini, ów sławny Mazzini, na stacji kolei żelaznéj w Novi, między naszem miastem i Genuą, został schwytany. Ale wkrótce okazało się, że ta pogłoska była fałszywą. Wprawdzie aresztowano w Novi, ale nie Mazziniego, tylko znanego członka parlamentu, który z nim mafatalne podobieństwo. Cała historja zatem skończyła się na żarcie. Wypada nam tu jednak powiedzieć, że postrzegać się dają symptomy poważnéj mazzinistoskiéj agitacji, która spowodowała ze strony władz większą czynność. Po tylu niepowodzeniach trudno wierzyć, żeby ten krwawy człowiek myślał jeszcze o nowych zawichrzeniach, ale dopóki władze nie dostaną go w ręce, dopóty społeczeństwo wystawione będzie na jego mordercze plany. Jego właściwem miejscem jest dom szalonych albo rusztowanie, bo on jest mordercą pozbawionym zmysłów.

Gazetta Piemontese ogłasza tylokrotnie wspominane prawo Déforesta, w przedmiocie knowań spisków na życie obcych monarchów i pochwały politycznego morderstwa. Prawo to podpisane zostało przez Jego Kr. Mość w Sommariva, nowym, ślicznie położonym letnim zamku.

Szeregi reprezentantów w Izbie, coraz bardziéj się przerzedzają i budżety galopem są wotowane. Możemy jednak spodziewać się jeszcze burzliwych rozpraw przy prawie drugiéj linji szyn na kolei z Turynu ku morzu śródziemnemu a mianowicie do portu Savona, który gdy wszystkie potrzebne budowle ukończone będą, należyć będzie do najlepszych portów na morzu śródziemnem. Bogata Genua zazdrośnie patrzy na niebezpieczną rywalkę i używa wszelkich środków aby się jéj pozbyć. Ale ani intryga, ani przekupstwo niezdoła utrzymać przy niéj monopol wschodniego i zachodniego handlu, bo najprzód ani zakłady portowe Genui, ani środki kommunikacyjne z Turynem i Lago maggiore nie wystarczają dla przesłania w pożądanym czasie w głąb kraju ześciągających się ze wszystkich stron towarów, a potem w żadnym porcie europejskim nie ma takich kosztów, trudności, szykan i złodziejstw jak w Genui. Nakoniec gabinet oświadczył się jednogłośnie za linją do Savony. (*Neue Pr. Zeit*).

DONIESIENIA.

PRZYJECHALI DO WARSZAWY.

Brunow Szymon baron z Kowna nr 414, *Bagieński* Kazim. ob. z Pułtuska nr 556, *Chołoniewski* Adam hr. z Wołynia nr 634, *Czapski* Stanis. ob. z Miąsego nr 476, *Dobrowolski* Jan obyw. z Uścieńca nr 500, *Horodyski* Wład. ob. z Mołodyszki nr 613, *Jelski* Joz. obyw. i *Jezierski* Władys. oby. z Sobień nr 625, *Łubieński* Włady. hr. z Dobrzelina nr 1245 *Łempicki* Adam ob. z Iwanisk nr 1337, *Mikorski* Felix ob. z Kątow nr 601, *Madaliński* Miko. ob. z Osuy nr 570, *Sołtyk* Marceli ob. z Walenczowa nr 634, *Skarzyński* Zyg. ob. z Łaniąt nr 1346, *Strzeszewski* Ant. ob. z Modzel nr 500, *Siemiątkowski* Józ. rządca dóbr z Poznania nr 607.

WYJECHALI Z WARSZAWY.

Dobiecki Teodor obyw. do Kołacinka, *Kretkowski* Emilian oby. do Boruchowa, *Łubieński* Juljan oby. do Kijowa, *Rogoziński* Kazim. oby. do Pianowa, *Zaborowski* Ign. obyw. do Zalesia, *Ziemecki* Jan inżynier gubernialny Radomski do Karlsbad, *Zalewski* Paw. ob. do Paryża.

— Wczoraj przypłynęło z dołu rzeki Wisły statkiem parowym *Narew* osób 27.

— W dniu wczorajszym przyjechało do Warszawy koleją żelazną osób 277, wyjechało 585.

KURS GIEŁDY WARSZAWSKIEJ.

dnia 3 Lipca 1858 roku.

			żądano		płacono	
			Rs.	kop.	Rs.	kop.
Monety.						
Pół-imperjały rossyjskie			—	—	5	42
Dukaty hollenderskie nowe ważne . .			—	—	—	—
Papiery.						
Obli. skar. (4%) za 100 rs. (oprócz kup.)			91	22	—	—
Bilety skarbu Królestwa Polskie. (4 8/25 %)			—	—	—	—
Listy zastawne białe II okresu (oprócz kuponu) (4%) . . za 100 złp.			—	—	—	—
Listy zastawne białe III okresu (oprócz kuponu) (4%) . . . za 15 rs.			14	78	—	—
Obligacje cząstkowe na 500 zł. (oprócz kuponu) (4%)			—	—	—	—
Cert. banku na obl. cz. lit. A na 300 zł.			—	—	—	—
〃 〃 lit. B. na 200 zł. bez proc.			—	—	—	—
〃 〃 procentowe (5%)			—	—	—	—
Dowody Kom. Centr. Likwid. za 100 zł.			—	—	—	—
Nowa rossyjska pożyczka z roku 1854 oprócz kuponu (5%)			—	—	—	—
〃 〃 〃 z roku 1855			—	—	—	—
Akcje Głównego Towarzystwa Rossyjskiego dróg żelaznych, praemium. . . .			—	—	—	—
Obligi Współki Żeglugi Parowéj w Królestwie Polskiem (5%) za rs. 750			—	—	—	—
Wexle z dnia 1 b. m.						
Berlin	100 Tal.	2 M.	99	67½	99	60
〃	100 Tal.	k. t.	—	—	—	—
Gdańsk	100 Tal.	2 M.	—	—	—	—
〃	100 Tal.	k. t.	—	—	—	—
Hamburg	300 BMk.	2 M.	150	—	—	—
Londyn	1 Ft. St.	3 M.	6	65	—	—
Moskwa	100 Rs.	k. t.	—	—	99	33
Petersburg	100 Rs.	1 M.	—	—	99	50
〃	100 Rs.	k. t.	—	—	—	—
Paryż	300 Fran.	2 M.	79	95	—	—
〃	300 Fran.	1 M.	—	—	—	—
Wiedeń	150 Zł. R.	2 M.	96	90	—	—
Wrocław	100 Tal.	2 M.	—	—	—	—

Wartość kuponu bieżącego od obl. skar. Rs. 1 kop. 3½
od listów zastawnych kop. 1⅙.
od nowéj rossyjskiéj pożyczki Rs. — kop.

CENY TARGOWE WARSZAWSKIE

do dnia 2 Lipca 1858 roku.

	rsr.	kop.		rsr.	kop.
Żyta Korzec 〃 〃 〃 〃	3	—	〃 grycza zwy. k.	—	—
Pszenicy wyborowéj	5	70	〃 〃 drobnéj g.	—	—
〃 〃 średniéj .	4	80	Słomy fura zwyczaj.	3	60
Grochu polnego 〃 〃	2	40	Drzewa sosno. sążeń	7	30
〃 〃 cukrowego 〃	3	—	Kartofli korzec 〃 〃 〃	1	45
Gryki 〃 〃 〃 〃 〃 〃	2	70	Okowita bez akcy. g.	—	37½
Jęczmienia 〃 〃 〃 〃	2	70	Siana cetnar 〃 〃 〃	1	—
Owsa 〃 〃 〃 〃 〃 〃	2	70	Masła solonego funt	—	—
Mąki pszennéj korzec	6	75	〃 bez soli 〃	—	—
Kaszy jaglannéj kor	—	—			

TEATR ROZMAITOSCI. Jutro: *Pamiętniki szatana.*

D O D A T E K.

PRAWDOMÓWCA.

BJOGRAFJA CZY OPOWIADANIE Z EPOKI WSPÓŁCZESNEJ

jak się to komu nazwać podoba,

przez

Kazimierza Bujnickiego.

(Ciąg dalszy.)

(Patrz Ner Kroniki 147.)

— Trafiliście tu kochani rodzice na coś uroczystego— na abdykację.

— Wytłumacz się duszko, — odpowiedziała matka.

— Pan Bodhan abdykuje urząd mojego opiekuna i składa go w ręce kochanego tatunia—lecz w dowodzie dobrych zawsze swych ku mnie chęci pozwala żebym go nazywała bratem. Ten między nami układ podajemy wam do potwierdzenia, jeżeli wola.

Oboje rodzice uściskali Rackiego a Pochowski rzekł do niego.

— Nabyłeś zacny młodzieńcze, tak wielkiego prawa do naszej wdzięczności, że uważamy dla siebie zaszczytem poczytać ciebie za członka naszéj rodziny.

— Jedna tylko myśl trapi nas— dodała pani Pochowska— że dobroczyńcy naszej córki nigdy dostatecznie zawdzięczyć nie zdołamy.

Wzruszenie Bohdana nie dozwoliło mu,-jedno urywanemi słowy dziękować za tak łaskawe wyrazy, i zapewniać o chęci zasługiwania zawsze na ich przychylność.

Dzień ten przeszedł w radośnym jakby rzec nie ładzie. Obiad był późny bo i w kuchni jak w całym domu głowy zaprzątnione tak ważnym wypadkiem, nie dopuszczały prawie innéj myśli. Stół w Łatyniczach znany był w okolicy ze smakowitości potraw, lecz tą razą straciłby swą renomę, gdyby się zdarzył ktoś obcy, kiedy zaś zasłużona kucharka Małgorzata, przed wydaniem potraw skosztowała każdéj, wstyd ją ogarnął i z pewną trwogą oczekiwała co też powiedzą jedący przydymiony trochę rosół, twardawą sztukę mięsa i przypaloną pieczeń, ale na szczęście nikt tego się nie zdawał uważać, albo raczéj wszyscy zrozumieli prawdziwą przyczynę roztargnienia staruszki i wyprowadzili ją z kłopotu zajadając wesoło niefortunne na ten raz wyroby jéj sztuki.

Resztę dnia malutkie lecz szczęśliwe gronko spędziło na miléj pogadance, obszerniejszą zaś opowieść swych przygód odłożyć musiał pan Pochowski do jutra.

VI.

Nazajutrz rano przy śniadaniu pod rozłożystemi lipami w ogrodzie, pan Stanisław, na żądanie swéj żony, opowiedział następnie przygody jakie go spotkały od chwili ich rozstania.

„Pamiętasz dzień ten fatalny kiedy w mizernym domku poczciwych Mikuckich, po kilku-godzinnych srogich męczarniach, zostałaś matką! Widziałaś jakem w uniesieniu szczęścia ciebie i nowonarodzone dziecię radosnemi oblewał łzami! Lecz to szczęście jakże krótko trwało, jak okrutną i długą niedolą opłacić mi je przyszło! Nie zapomnę nigdy téj chwili, kiedy nieroztropny acz poczciwy Mikucki, wpadł do izby wołając: „Nasza pani jedzie!— już niedaleko!“ — Na te słowa wydałaś krzyk przeraźliwy, drgnęłaś konwulsyjnie, stężałaś jak drewno, oczy w słup ci stanęły, a Mikucka zanosząc się od płaczu płakała: O.Boże— skonała—nie żyje— uchodź pan — nim stara nie naskoczy. Jakby piorunem rażony, rzucę się ku tobie, badam pulsu, bicia serca, oddechu—wszystko martwe! Rozpacz mnie ogarnęła, chcę się zabić, lecz niemowlę kwili, a głos ten odbił się w mych wnętrznościach. Porywam więc dziecię otułam je czem mogę biorę pod mój płaszcz i uciekam z nim przez ogródek, poleciwszy gospodarzowi aby ludzi moich z powozem wysłał za mną na wileński gościniec. Gdy ci mię dognali, dowiedziałem się iż w saméj rzeczy matka twoja, nie wiem jakim sposobem uwiadomiona o miejscu twojego schronienia, przyjechała tam, a znajdując cię (jak się już w tedy wszystkim zdawało) nie żywą, sama z przestrachu i później już żalu zasłabła, co im posłużyło do wyjazdu bez przeszkody i do zabrania z sobą potrzebnych dla dziecka rzeczy. Tym sposobem przekonany już o twéj śmierci, nic mnie nie przywiązywało do życia, jedno ta biedna dziecina — lecz wieść ją do mego domu nie chciałem, aby się nie wystawić na plotki sąsiedztwa, postanowiłem więc jechać do Wilejki, gdzie miałem znajomego i plenipotenta w osobie rejenta Szostkiewicza, któremu bez wyjawienia naszéj tajemnicy, mogłem jak mnie się zdawało powierzyć los naszej coreczki.

— A któż ją ochrzcił?— zapytała go żona.

— Ten sam xiądz, który sekretnie ślubem nas połączył moja droga. Zajechałem do niego w nocy i ochrzciliśmy niebożątko w ciszości, twojem je ozdabiając imieniem. Potem za radą Szostkiewicza, ulokowałem Justysię u Brożkowéj, która wychowana w domu mych rodziców cały swój los winną im była. Chętnie się więc podjęła być matką sierocie, i zaklęła się na wszystkie świętości że mej ufności nie zdradzi, zaś Szostkiewicz dał mi także słowo że dziecka z oka nie spuści, na utrzymanie którego zostawiłem mu tymczasowie dostateczny fundusz. I on i ona źle spełniali swe obowiązki, niech im Bóg tego nie pamięta, lecz tenże Bóg czuwał nad niewinną istotą i opatrzył jéj dobrego opiekuna.

To mówiąc wyciągnął rękę ku Bohdanowi i uściskawszy go, tak daléj rzecz prowadził.

— Obmierziłem sobie kraj własny, gdzie mi wszystko przypominało niepowetowaną stratę, a ponieważ interessa moje były uregulowane i wioska oddana w zastawę, nic mnie wtedy nie zatrzymywało, i wnet po ulokowaniu Justysi, udałem się do Wilna, gdzie dostawszy paszport wyjechałem za granicę. Nikt w tych stronach nie wiedział co się ze mną stało, nikt więc nie mógł mi donieść o twym powrocie do życia, a co gorzéj, w Wilnie spotkałem się z jednym z moich znajomych, którego pierwsze do mnie wyrzeczone słowa były: „Wiesz li, że panna Justyna Bielicka umarła? Piszą o tem z Mińska za rzecz najpewniejszą.“ Żadnéj więc już wątpliwości nie zostało: żegnam kraj rodzinny, jadę, by włóczyć pod obcem niebem zatrute rozpaczą życie.

— Przejechałem Prussy i niemieckie kraje, prawie się nie zatrzymując. W Kolonji dopiero postanowiłem dni kilka wypocząć, a widok sędziwéj gotyckiéj cudownéj katedry przypomniał mi żem chrześcijanin, katolik, a dotąd w nieszczęściu mojem nie zdołałem wznieść się myślą do Boga i szukać w modlitwie ulgi dla zbolałéj i upadłéj méj duszy.

— Wszedłem do świątyni, a jéj wspaniałe wnętrze magicznem oblane światłem, i panująca w tym ogromie uroczysta cisza, nie pojęte na mnie zrobiły wrażenie. Uczułem obecność Boga, Jego wielkość a moją nikczemność, zaniedbana cześć Jego stanęła mi groźnie na sumieniu, lód serca topniał otwierając je religijnym uczuciom, a rozpacz zeń ustępowała we łzach coraz obfitszych coraz gorętszych, towarzyszących niemej modlitwie upokorzonego ducha. Wróciwszy z kościoła zdolen już byłem, zebrać moje myśli i zastanowić się nad tem co mi daléj czynić wypadało. Kapitalik mój prędko by stopniał w podróżach bez celu, trzeba więc było starać się go nietylko wyratować lecz i pomnożyć dla dobra mojego dziecka, tego jedynego zakładu miłości i świętego związku z tą której przedwczesnego skonu stałem się sprawcą.

Po długim namyśle postanowiłem udać się do Hollandji, kraju słynącego z przemysłu pracowitych jego mieszkańców. Lecz widać wolą było nieba, bym aż w drugiéj części świata znalezć po tysiącznych przygodach i trudach bezpieczną ostoję. W Hollandji bowiem ze szczupłym zasobem mała jest perspektywa zysku, korzystne handlowe spekulacje udają się tam li tylko posiadaczom znacznych kapitałów, a ci właśnie swojemi miljonami tamują małym kapitalistom wszelką do konkurencji drogę, zostawując im drobiazgowy przemysł do którego nie miałem zdolności, ani też ochoty. W smutnem tem położeniu szukałem rady u bankierów i negocjantów amsterdamskich i prawie wszyscy do których się udawałem radzili mi probować szczęścia w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki. Usłuchałem i wziąwszy trety na jednego z bankierów New-Yorku, puściłem się za morze.

Po szczęśliwéj żegludze wysiadłem na ląd, w pysznym tym grodzie Nowego-Swiata, najpodobniejszym ze wszystkich pod względem obyczajów do Europejskich miast stołecznych. Nie umiejący angielskiego języka musiałem szukać polaka lub francuza, któryby się podjął służyć mi w potrzebie za tłumacza. Pierwszy mi się nawinął francuz, zwinny, gadatliwy, rozprawiający o znajomości kraju i przemysłowych obrotach. Ten mi więc ofiarował swoje usługi za umiarkowane wynagrodzenie. Nie długo myśląc zaprowadził mię do jednego z głównych agentów kompanji, która od rządu stanu Georgji otrzymała przywiléj na założenie nowego miasta, na zakupionym przez nią obszarze ziemi w tymże Stanie leżącym. Francuz zaręczał i dowodził żyjącemi przykładami, że kapitał wyłożony na kupienie placu i zabudowanie w takich nowo-powstających miastach, ogromne przynosi procenta. dubluje się i trypluje w prędkim bardzo czasie. Agent kompanji potwierdził to i ukazał mi plan owego grodu *en herbe*, pięknie narysowany. Ulice, rynki, ogrody, gmachy publiczne były już oznaczone kolorami, a na mieszkania prywatne wykazane były do nabycia numerowane miejsca, w większych, lub mniejszych rozmiarach. Rzeka Sawaunak oblewała jedną ścianę miasta, z drugiéj zaś strony były wysoko-pienne lasy mające dostarczać materjał budowlowy. Plan wskazywał położenie piękne i wygodne, zachęcające do korzystania z dobréj zręczności, przeto też agent radził spieszyć, aby się nie dać uprzedzić innym ambijentom. Rozważywszy to wszystko, obrachowawszy swój zapasik, zbadałem potem taryfę wystawionych na sprzedaż placów, i znalazłem ceny tak przystępne iż mógłbym był sobie wybrać w środku miasta plac dość obszerny, gdyby nie ta okoliczność, że cała część środkowa była już zakupiona. Musiałem zatem przestać na zajęciu za też samą cenę, daleko większéj wprawdzie przestrzeni ale w znacznéj od środka odległości, zawsze atoli w miastowym obwodzie położonéj.

Po dopełnieniu prawnych na to kupno formalności, ruszyłem z mym towarzyszem i z dodanym do kompanji przewodnikiem do nowéj méj posiadłości. Po uciążliwéj morzem i lądem podróży przybyliśmy na miejsce późnym wieczorem, lecz jakże bolesne było moje zdumienie, gdy nie tylko nie ujrzeliśmy tam żadnego podobieństwa do miasta, aleśmy nie znaleźli nawet choćby najlichszéj gospody do przenocowania, musieliśmy więc w nędznym szałasie o głodzie i chłodzie pierwszą tę noc przepędzić. Zaledwie zaczęło świtać, wybiegłem z budy niespokojny i niecierpliwy obejrzyć me kupno. Wielki Boże! ujrzałem równinę najeżoną mierniczemi portykami, ale na niéj żadnego domu, żadnéj budowli skończonéj, a tylko tu i owdzie wyprowadzone do połowy ściany, pozakładane fundamenta, zresztą przygotowania do zakładania innych. To było w środkowéj części, nowo-poczętego miasta, tworzącéj małą wyniosłość śród bagnistéj płaszczyzny, która jednym ze swych boków przytykała do rzeki, reszta zaś zarosła trzciną lub wodnem zielskiem. Brodząc po kolana dobraliśmy się do méj pięknéj posiadłości, oznaczonéj numerem namalowanym na paliku i okolonéj krótkiemi tykami. Był to kawał bagna mający około naszego morga powierzchni, i nic a nic więcéj. Proszę tu było myśleć o budowie! Z rozpaczy załamałem ręce i zacząłem przeklinać mojego francuza, ten zaś nie zmięszany wcale, usiłował dowodzić że w Ameryce tak się pospolicie dzieje, a przecie ludzie się bogacą, lecz ku temu trzeba cierpliwości, i wytrwałéj pracy.

— Zacznijmy więc (mówił) od zbudowania sobie domku na palach, przystąpimy potem do osuszenia placu szerokiemi rowami, a dopiero zabudujemy go jak należy.

I tak to pięknie wyłuszczył, wyrachował, żem podbity jego wymową, a nadewszystko koniecznością, przystać musiał na radę.

Zająłem się tedy krwawą pracą, nająłem robotników, sprowadziłem na początek cokolwiek drzewa na mały mieszkalny domek, i mozoląc się ze dwa lata, śród największych niewygód, osuszyłem nieco bagnisko lecz zarazem i moją kieszeń. Za późnom się obejrzał, a francuza już nie było; zwąchał co się święci, poszedł niby poszukać tańszych robotników i już nie wrócił. Zostałem samiutki, z małą kwotką pieniędzy, w najkrytyczniejszém położeniu, bo prócz zdrowych członków nie posiadałem nic z tego co w Ameryce popłaca. Spędziwszy młodość na wzór większéj części naszéj braci szlachty, nie nabyłem gruntownie żadnéj umiejętności, a błyszcząc jedynie salonowemi talencikami jakieżbym mógł zająć miejsce w nowym świecie, gdzie poszukują ludzi użytecznych, specjalnych fachowych, lub pieniężnych nie ceniąc bynajmniéj urodzenia i-powierzchownéj ogłady. Trzeba się tedy było jąć ręcznéj pracy i na początek uczyć się jakiegoś prostego rze-

miosła. Ale stargane dwuletnią ciężką pracą zdrowie, potrzebowało najprzód wytchnienia i zdrowszego powietrza. W tym celu zwiedziłem sąsiednią Florydę. Kraj to prześliczny, mało jeszcze zamieszkały. Dziewicze puszcze stoją tam w pierwotnéj swej dzikiéj piękności. Drzewa i rośliny najrozmaitszéj wielkości, kształtów i kolorów, pełne najrzadszych ptaków, są oraz siedliskiem drapieżnych zwierząt i jadowitych gadów. Rzeki strumienie, jeziora, zwilżają ziemię tę żyzną i wyglądającą uprawy, ale właśnie nadmiar ten wód, i koczujące dzikie plemiona Indjan, *Seminolów i Kreeków*, stawią przeszkody Europejczykowi do zamieszkania w téj rozkosznéj chleborodnéj lecz zarazem niebezpiecznéj pustyni.

Oto co mię samego tam spotkało, gdym dla poratowania zdrowia, zamieszkał w okolicy miasta St. Augustino, w chatce ubogiego osadnika, któremu za gościnność wypłacałem się dozorowaniem i pielęgnowaniem jego owocowego ogródka, składającego się głównie z drzew pomarańczowych. Czyste i łagodne powietrze w miesiącach zimowych, i wzmacniający nerwy powiew od bliskiego morza, wróciły mi zdrowie, lecz ta kuracja drogo mnie w końcu kosztowała.

Dnia jednego posłał mnie mój gospodarz do St Augustino dla sprzedania pomarańcz, któremi to miasto znaczny prowadzi handel. Załatwiwszy ten interes wracałem na próżnym wózku, a gdy zmęczona szkapa z trudnością się wlokła, noc mię zaskoczyła w lesie o pół mili od domu. Nagle ujrzałem się otoczony kupą istnych straszydeł, pierwszy raz bowiem w życiu widziałem dzikich mieszkańców puszczy. Czerwoność ich skóry, iskrzące się tygrysie oczy, twarze srogie, upstrzone dziwacznemi rysunkami, czuby czerwonych kudłów na wierzchołkach głów obnażonych z włosów, giętkość i ruchliwość wszystkich członków, oraz głosy jakieś gardlane bardziej zwierzęce niż ludzkie, wszystko to razem, przy mdłem świetle xiężyca, wyglądało tak straszliwie, tak okropnie, żem się zrazu mniemał być w środku legji złych duchów. Nie miałem czasu odzyskać przytomności bo mię te potwory porwały i prawie uniosły ze sobą w gąszcz ciemnego lasu. Zatrzymali się potem w pewnéj odległości na łączce i obdarli mię ze wszystkiego com miał na ciele, konia który daléj iść nie mógł zabili i skórę zeń zdarłszy ruszyli daléj, wlokąc mnie ująwszy pod pachy gdym nie był w stanie zdążyć zą niemi. Po kilku godzinach nader szybkiego pochodu, i gdy już świtać zaczynało, stanęli na małéj wysokiemi drzewami okołonéj równinie nad brzegiem szerokiego strumienia.

Podniosłem zranioną głowę i ujrzałem kilkanaście szałasów trzciną lub surowemi skórami pokrytych wewnątrz których tlały ogniska. Wpółnagie kobiety, po większéj części szpetne. wyglądały jak wiedzmy z tych bud, witające wracających z nocnéj wyprawy mężów krzykiem i piskiem rażącym uszy. Cóż wam powiem o dalszych cierpieniach jakiem znosił w szponach téj zajadłéj dziczy? Nie chcę zakrwawiać serc waszych opisywaniem zadawanych mi męczarni. Bóg mnie jednak nie opuścił w ciężkiej téj niedoli. On to zmiękczył serca kilku kobiet, tchnął w nie litość nieznaną tym plemionom, a jedną z nich szczególnie wybrał za narzędzie swojego nademną zmiłowania. Była to córka ich dowódzcy, młoda. wysoka dziewa, dość miłego lica, ze smutnym jakby melancholicznym wyrazem twarzy, długiemi, czarnemi, twardemi i źle rozczesanemi włosami, które jéj w gęstych kosmykach na ramiona i na szerokie wypukłe jéj plecy spadały. Ona pierwsza, ile z jéj oczu i gestów zrozumieć mogłem, wstawiła się za mną do swego ojca, i za jéj zapewne przyczyną darowano mi życie. Dowiedziałem się późniéj, że mnie zabić chcieli, w obawie żebym uciekłszy nie naprowadził *białych* na ich koczowisko. Ledwie po roku udało mi się, za pomocą méj protektorki *Winony*, wydobyć z téj okropnéj niewoli, a nie sądźcie żeby ją miłość do tego czynu ludzkości skłoniła. Nie, ona kochała jednego ze swych ziomków, młodego walecznego wojaka ze krwi Seminolów, lecz ojciec należący do pokolenia Kreeków nie chciał jéj oddać jedno któremu ze swoich. Litość więc, która i dzikim ludziom nie jest całkiem obcą, a w sercu niewieściem najczęściéj znajdująca przytułek, pobudziła Winonę do zajęcia się mym losem. (1)

Dziewczyna ta różniła się téż bardzo od wszystkich innych kobiet tego koczowiska. Och, były tam prawdziwe megery, szkaradne duszą i ciałem, w ich to nie ludzkie ręce byłem oddany, traktowały mnie téż gorzéj niż bydlę. Mężczyzni albowiem rzadko gościli w obozie, kobiety zaś pracowały, każda w swoim *Wigwamie* (szałasie) i mną się zwykle w najtwardszych robotach wyręczały, a w nocy spałem w głębi Wigwanu, u wejścia którego kładło się kilka tych jędz na straży. Winona używała mnie często do swych posług, nosiłem dla niéj wodę, ścierałem kukurydzę między dwoma kamieniami, pilnowałem garnka u ognia, i t. p,, ona zaś korzystała z téj sposobności by mnie uczyć po troszę swojego języka, jakoż ku końcowi roku nie źlem już rozumiał mowę mych wrogów. Przedsięwzięcie ucieczki było trudne i połączone z niebezpieczeństwem śmierci, jeżeli by się nie udało; nadzwyczajna jest bowiem czujność Indjanów, obdarzonych równie dziwną ostrością wzroku, słuchu i powonienia, jako i przebiegłością niepospolitą. Traf szczęśliwy, a raczéj jak mówiłem miłosierdzie nademną Boga, może też twoje modlitwy najdroższa żono, dopomogły dobrym chęciom Winony. Jednego wieczora podczas gdy Indjanie znajdowali się na dalekiéj wyprawie, łóżna pusta tratewéńka pędzona nurtem strumienia, uwięzła w strzemię u brzegu w niewielkiéj od obozu odległości. Winona spostrzegła to wracając z lasu, i natychmiast dała mi o tem wiedzieć, a wysławszy mię niby po wodę wrzuciła do wiadra nóż wyostrzony jakim dzicy zwykli *skalpować*, swych nieprzyjaciół i w kilku słowach wytłomaczyła jaki zeń mam zrobić użytek. Czekałem więc nocy, a gdy się już baby układły i wszystko ucichło, zacząłem moją robotę. Wigwam który mi służył za więzienie składał się z miernéj grubości patyków ukośnie w ziemię wbitych i ku śrzodkowi pochylonych, ściany te pokryte były zewnątrz bawolemi surowemi skórami.

Wypadało więc przeleźć tę podwójną zaporę. Dosyć było wprawdzie jeden tylku koł usunąć by się przez ten otwor przecisnąć, lecz dokazać tego za pomocą noża niepodobna było w ciągu jednéj nocy, bo się nóż w połowie roboty tak przytępił że daléj rznąć nie chciał. Znowu więc dzień jeden niepewności, nadziei i trwogi. Szczęśliwie jakoś tratwa została niepostrzeżona, a nóż ukradkiem wyostrzony, nie zdradził mnie drugiéj nocy, pociął kół do reszty, i zrobił potem otwór w skórzanéj ścianie. Wyśliznąłem się nareszcie, odziany wprawdzie *a la sauvage*, ale z workiem kukurydzy i wybawczym mym nożem w ręku. Miałem dość trudu w wydobyciu ze splotów gęstego sitowia zbawczéj tratewki, lecz raz tego dokazawszy łatwo już było płynąć z nurtem i kierować się żerdką, która się na niéj znalazła. Po kilku godzinach i kiedy się już na dzień zabierało, wypłynąłem na rzekę Alabama, do któréj strumień wpadał, i żeglowałem dzień cały wśród puszczy i łąk bagnistych, nie dopatrzywszy żadnego mieszkania, żadnego śladu obecności człowieka, w ciągłym strachu żeby się mój statek nie rozbił o jaką podwodną kłodę, albo żebym ja się nie stał, pastwą alligatorów, na których w rzekach Florydy nie zbywa.

Cudne widoki rozwijały się po obu brzegach rzeki, potężna roślinność urozmaicona tysiącznemi barwy, owe rzekłbym namioty kształcone ręką natury z drzew niesłychanéj wysokości, okrytych rożnokolorowemi kwiaty i ożywionych gromadami różnéj wielkości ptaków i małp igrających między konarami. Sama powierzchnia wód i nawet bagien zdobna kwitnącemi wspaniale roślinami, zgoła nieopisany urok téj natury tak bogatéj, a świeżéj i młodej jakby dopiero wyszła z rąk Stwórcy, zachwycałby mnie w innéj chwili do najwyższego stopnia, ale zmęczony, nagi prawie, i otoczony wielorakiemi niebezpieczeństwy, małom zważał na te piękności przyrody, i oddałbym je wszystkie za widoki ubogiéj gościnnéj strzechy, choćby w najzapadlejszéj okolicy Litewskiego Polesia.

Lecz jeżeli dzień był dla mnie pasmem dotkliwych cierpień, cóż dopiero noc w téj strasznéj pustyni. A wybór miejsca do noclegowania był trudny. Opuścić tratwę bałem się bo przytwierdzenie jéj do brzegu trudnem było do wykonania, wpędzić ją między sitowie, oto wszystko co mi pozostawało, i com wykonał, lubo nie bez strachu ugrzęźnienia bez ratunku w szlamie. Stanowisko moje obrałem ną brzegu wysepki a raczéj kępy zarosłéj rodendronami i Azaleą, téj ostatniéj wiotkie i długie gałązki posłużyły mi do skręcenia rodzaju powrcza, którym uwiązałem kruchy mój statek do pniaka u brzegu rzeki, i spokojniejszy już, nabrawszy suchego liścia, zrobiłem zeń na tratwie pościołkę, a zjadłszy parę garści maisu i napiwszy się wcale niesmacznéj wody, poleciłem się Bogu, i śród koncertu amerykańskich słowików, (1) z towarzyszeniem ryku drapieżnych bestji i chrapliwego mruczenia alligatorów, twardo zasnąłem.

Kiedym się o świcie obudził — ha cóż znowu ani kępy, ani rzeki, za to bujałem sobie na falach wielkiego jeziora. Domyśliłem się dopiero że po północy, że wschodem xiężyca, woda się w rzece podniosła (ten fenomen zwyczajny jest wszystkim tamecznym rzekom kommunikującym z oceanem) i tratwa moja zerwawszy słabe więzy uniosła mię i wprowadziła śpiącego na wodę stojącą. Kołysany falą posuwałem się wolno ku niezbyt odległemu brzegowi, i gdym przetarł oczy ujrzałem z radością wijące się na otwartéj płaszczyznie wstęgi dymu, co zapowiadało okolicę zamieszkałą cywilizowanemi może ludźmi. Długo jednak wzdychać mi przyszło do szczęśliwego brzegu, a niecierpliwość doszła do tego stopnia, że kiedym już był odeń na kilkaset kroków rzuciłem zbawczą mą tratwę i wpław dostałem się do lądu. Pierwsza ludzka postać którąm spotkał, nie była z rzędu białych ani téż pięknych, był to murzyn, niewolnik idący po wodę. Ale jakaż to różnica między czarnym synem Afryki, a czerwonym amerykańskim tubylcem! Szpetniejszym nazwać by można pierwszego, ale w rysach téj brzydkiéj dla nas twarzy. przebija się coś poczciwego, naiwnego i uprzejmego, jakaś słodycz w oczach zwykle pięknych, a dobroduszność w szczerym uśmiechu; drugi przeciwnie foremniejszych rysów, ma coś odrażającego, jakby szyderskiego w swéj fizjognomji, oczy zaś, okrągłe, jasne. bezduszne, z wzrokiem zimnym, twardym, nieludzkim a bystrym jak u drapieżnego zwierza. Negr, po dzikim amerykaninie wydał mi się pięknym, a sposób uprzejmy jakim odpowiedział na me zapytanie podbił do reszty dla niego me serce. Od téj też chwili staliśmy się przyjaciołmi.

Opowiedziawszy mu po krótce moją przygodę i dowiedziawszy się odeń. że jest niewolnikiem kolonisty Anglo-amerykanina, nazwiskiem Dikson, do którego należała ta fortuna, prosiłem go żeby się postarał dla mnie o jaką przynajmniéj płachtę, abym nią okryty mógł się przedstawić panu Diksonowi. Nie długo czekałem na to. Czarny mój przyjaciel wrócił szybko z wesołą twarzą, niosąc dla mnie kompletną, prostą, ale czystą odzież. Ubrałem się więc i poszliśmy z nim do fermy.

Zastaliśmy pana Diksona przy niewolnikach osuszających rowami bagnistą sianożęć. Zapytał mnie zkądem, i co mnie tutaj sprowadziło? A gdym mu powiedział żem polak i probuję losu w Ameryce. — ,,Dla pana odrzekł nie odmawiam wsparcia, chętnie więc opatrzę was podług méj możności.

(d. c. n.)

(1) W historji prowincji amerykańskiéj Wirginji, znajduje się fakt następujący. Na początku XVIIgo wieku, pewny anglik John Smith, szukający awantur i złota, zawinął do południowego brzegu Wirginji, i stanął wkrótce na czele małéj kolonji Europejczyków, którą tam zastał. Kolonja ta miała niebezpiecznego sąsiada w naczelniku plemienia Indjanow, którego zwano cesarzem, na imię Powhatan, i z którym w ciągłéj była wojnie. W jednéj z bitew Smitt dowodzący kolonistami został zwyciężony i wzięty w niewolę. Powhatan skazał go na śmierć w ofierze swoim Bogom, i wyrok ten miał być właśnie spełniony, gdy w tejże chwili 12-letnia córka Indjańskiego mocarza nadobna Pokahuntas przybiegła na plac exekucji i rzucając się na rozciągnionego na ziemi pod maczugami swych katów delikwenta, objęła go za szyję i własnem okrywając ciałem wołała, że nie wstanie, aż ułaskawienie skazanego otrzyma. Powhatan zmiękczony tym widokiem przebaczył Smithowi, zawarł z nim przymierze i na wolność wypuścił. Później taż cnotliwa Indjanka, uczęszczając do kolonji, i wszedłszy w stosunki z Europejczykami, pokochała jednego anglika, na imię Ralfa, przyjęła chrzest, została jego żoną za zezwoleniem swego ojca i krewnych, poczem odpłynęła z mężem do Anglji i umarła w Londynie skutkiem zmiany klimatu.— Listy o Ameryce F. Bremer.

(1) Słowik ten zowie sie *Whip poor Will*, różny od naszego kształtem i nie tak pięknie śpiewa.

W drukarni J. Ungra.— Wolno drukować. — Warszawa dnia 22 Czerwca (4 Lipca) 1858. — Starszy Cenzor, F. *Sobieszczański.*